

Na saharyjskim szlaku

Dla większości ludzi realizacja długiej, egzotycznej podróży wydaje się zupełnie niewyobrażalna. Wielu znajomych pyta mnie:

- Co Ty robisz, że tak jeździsz ciągle po tym świecie?

Odpowiadam krótko:

- Po prostu trzeba to lubić, posiadać zdrowie i po prostu bardzo, bardzo chcieć.

Na przykład od dziecka marzyłem o podróży na Saharę. Czytałem z zapartym tchem książki o odkrywcach Sahary. Jeszcze do pierwszej połowy XIX wieku większa część wnętrza największej pustyni świata – Sahary – pozostawała „białą plamą” na mapie Afryki. Odkrywcze podróże A. Lainga, R. Cailiç, H. Bartna, G. Nachtigala, M. Parka i wielu innych rozszerzały granice tego trudno dostępnego obszaru gór na terenie pustyni i bezkresnych piasków. Imponowali mi pojedynczy podróżnicy, podejmujący śmiałe wyprawy w głąb nieznanych Europejczykom terytoriów tej części kontynentu.

Zimą wspinałem się wraz z moim serdecznym przyjacielem, Markiem Gronowskim w Tatrach Słowackich. W czasie kolejnego załamania pogody wspólnie wpadliśmy na pomysł: przejedziemy Saharę! Do zamiaru przygotowaliśmy się solidnie. Zdaliśmy egzaminy na podyplomową afrykanistykę na Uniwersytecie Warszawskim i przez rok pilnie chłoniliśmy wiedzę afrykanistyczną. Nasz pomysł dwumiesięcznej przeprawy przez Saharę, w miarę zdobywania wiadomości, przeobraził się w plan długiej, rocznej wyprawy.

A potem było prozaicznie. Poprosiliśmy o roczny urlop dziekański, dostaliśmy paszporty i przez cztery miesiące ciężko pracowaliśmy w Szwecji na wyprawę.

Następny etap to Bruksela, tam przyłączyła się do nas Daria Jezierska – świetny kompan w podróży. W stolicy Belgii kupiliśmy czternastoletniego land robra z napędem na cztery koła i większość wyposażenia tropikalnego, jak moskitiery, filtry na wodę, tabletki odkażające wodę oraz sporo mniej lub bardziej potrzebnych drobiazgów. Aż w końcu grudnia następnego roku, po wielu przygodach, poprzez Włochy i Sycylię, dotarliśmy promem do Tunisu.

Pierwsze spotkanie z wyznawcami islamu było dla nas lekko szokujące. Daria była kształtną blondynką i budziła ciągłe zainteresowanie. Różnym bogatym Tunezyjczykom czy Algierczykom nie przeszkadzało, że podawała się za mężatkę, koniecznie chcieli się z nią ożenić. Mieliśmy dużo kłopotliwych sytuacji (w końcu w zależności od tygodnia raz ja, a innym razem Marek byliśmy „oficjalnymi jej mężami), aż po wielu dniach wpadliśmy na genialny pomysł: Daria okazała się być matką czworga dzieci i zaraz potem licznym adoratorom odchodziła ochota do żeniaczki.

Szczęśliwie opuściliśmy Tunis – miasto z europejskimi aspiracjami, wiecznym zgiełkiem i chmarami przekupniów. Szybko przekroczyliśmy wąską strefę roślinności śródziemnomorskiej z wiecznozielonymi lasami dębu korkowego, kolczastymi zaroślami makii oraz rozległymi plantacjami cytrusów. Po dwóch dniach znaleźliśmy się na pustyni. Na początku był to rozległy step pokryty ubogą trawą, na którym wypasane były liczne stada wielbłądów.

Już w szkole podstawowej wiedziałem, że wyobrażenie Sahary jako pustyni piaszczystej, jest zupełnie mylne. Spotyka się tu wszystkie rodzaje pustyni: piaszczyste (erg), żwirowe (serrir), kamieniste (hamada) oraz gliniaste i słone (sebcha), przy czym pustynie piaszczyste zajmują niecałe dziesięć procent powierzchni Sahary. Na tej największej pustyni na świecie (Sahara ma powierzchnie 9 mln km², prawie tyle, co cała Europa) deszcze padają bardzo

rzadko, niekiedy raz na kilka lat. Dlatego roślinność jest niezwykle uboga, jedynie w oazach można spotkać bujną roślinność.

Zimą na Saharze panuje najlepszy klimat na świecie. W dzień temperatura sięga 30°C, nocą spada nieznacznie poniżej zera. W tym okresie jest bezpieczniej na Saharze, większość skorpionów i gadów znajduje się w zimowym letargu.

Jechaliśmy na południe w stronę masywu Tassili N'Ajjer i gór Hoggar. Początkowo asfaltowymi drogami (tam, o dziwo, asfalt nie roztapiał się w upalnym saharyjskim słońcu) później na piaszczystych wydmach zdarzało się nam nie przejeżdżać nawet 50 kilometrów w ciągu dnia. Na nocleg wybieraliśmy jak najbardziej przytulne miejsca. Spaliśmy w łózkach polowych, w ciepłych puchowych śpiworach. Urokowi nocy dodawał nieustanny świszczący wiatr i chmury gromadzące się na niebie, mimo że w ciągu ostatnich wielu lat nie było w tej okolicy deszczu.

Jadąc przez Algierię, wzdłuż Wielkiego Ergu Wschodniego, widzieliśmy nocą na horyzoncie liczne płonące pochodnie gazu ziemnego. Wielkie wrażenie zrobiła na nas pracująca nocą olbrzymia rafineria w Hassi Messaud. Duże wydobywanie ropy naftowej i gazu spowodowało wielki awans społeczny dla tych prostych ludzi pustyni.

Czasami po drodze zatrzymywali nas Tuaregowie. Ci tajemniczy synowie pustyni, potomkowie wielkich wojowników, jechali na dachu samochodu często i kilkaset kilometrów, wysiadali w zupełnie niecharakterystycznych miejscach zaraz ruszali w głąb pustyni, w poszukiwaniu stad swoich wielbłądów. Skąd oni wiedzieli, że tam właśnie są ich wielbłądy?!

My przygotowaliśmy się do przeprawy przez Saharę jak prawdziwi neofici. Mieliśmy autonomię paliwa na około 1500 kilometrów, zapasy wody na wiele dni, żywności na kilka miesięcy, nieskończoną ilość zapasowych części

samochodowych. Za to spotkaliśmy czwórkę osiemnastoletnich Francuzów, podróżujących rozsypującym się peugeotem 404, którzy mieli tylko dziesięciolitrowy zapasowy zbiornik na benzynę, ale za to 40 kilogramów pomarańczy i 80 litrów wina. I oni też pojechali na Saharę.

Cały czas przestrzegaliśmy ostrego reżimu pustynnego. Woda służyła tylko do picia. Do mycia ciała i naczyń kuchennych był piasek.

Daria się na to lekko oburzała, ale co tam. Za In Amenas skończyła się asfaltowa droga i wjechaliśmy w słynną saharyjską „tarkę”. Drgania kół wielkich ciężarówek spowodowały, że powierzchnia piaszczystych dróg wygląda jak blacha falista. Są tylko dwa sposoby jazdy po takiej tarce: albo ponad 80 kilometrów na godzinę, albo nie przekraczać prędkości 10 kilometrów na godzinę. My oczywiście byliśmy zdani na drugi wariant. Na drodze trzęsło niesamowicie. Tuż przed wyjazdem krotochwilni Belgowie radzili Darii, iż tylko zakup stalowego stanika uchroni ją przed wybiciem zębów.

Po miesiącu dotarliśmy do małej oazy Ilizi, dawniej zwanej Fortem de Polignac. Bardzo chciałem tu przyjechać. W tej wiosce Antonioni kręcił swój słynny film *Zawód reporter*.

W oazie okazało się, że znów rozwalił się resor. W czasie przejazdu przez Saharę naszym land rowerem mieliśmy sporo awarii: sześciokrotnie wymienialiśmy resory, zmieniliśmy płoński i mechanizm różnicowy, naprawiliśmy drugi bieg, nawaliły nam hamulce. Marek okazał się świetnym mechanikiem, mechanikiem ja wyspecjalizowałem się w wymianie resorów. Okazało się, że land rover jest samochodem Afryki, wszędzie – czy to w oazach, czy w najdzikszych wioskach w wilgotnych lasach równikowych można było dostać zapasowe części.

I tak też było w Ilizi. W tej leżącej na końcu świata oazie, na wieść, że jacyś Europejczycy są w potrzebie, jak spod ziemi wyłoniło się czterech

Tuaregów, każdy z lewym przednim resorem od Land Rovera.. Na początku ceny były bająnskie. Na przemian wyciągaliśmy sobie resory, obrażaliśmy się, potem były przyjacielskie uśmiechy i znów ostre potyczki słowne. Oni wiedzieli, że i tak od nich kupimy, a my, że i tak będą musieli sprzedać, bo turystów w tych stronach nie za dużo się kręci.

Tuaregowie w czasie podróży często nagabywali nas o sprzedaż naszego wyposażenia. Najczęściej zainteresowani byli towarem zakazanym – alkoholem, ale tego nie posiadaliśmy. Koniecznie chcieli kupić kasety magnetofonowe. Pamiętam, zrobiłem najlepszy interes w życiu – za kasetę z polskimi kolędami dostaliśmy sto litrów benzyny. Kolędy sprzedaliśmy jako najnowsze przeboje japońskie. Jeśli kiedyś jakiś podróżnik z Polski usłyszy w jakiejś oazie dźwięki *Bóg się rodzi*, to będzie to rezultat mojego niecnego występku.

W Ilizi wynajęliśmy dwóch przewodników, dwa wielbłądy i poszliśmy kilkadziesiąt kilometrów w głąb pustyni do Uedu Djerat (ued to wyschnięte koryto rzeki, wypełnione wodą jedynie w okresach wielkich deszczów). W uedzie Djerat znajdują się płaskorzeźby i malowidła naskalne pochodzące z okresu 6000 lat p.n.e.

Kiedy w Europie był bardzo zimny klimat, w wielu częściach Sahary szata roślinna była taka, jaka obecnie jest na sawannie drzewiastej. W miarę osuszania się klimatu, mieszkańcy dolin emigrowali na wschód, ponoć dając początek cywilizacji w Egipcie.

Wyprawa do Udu Djerat była wielką frajdą. Cały sprzęt zapakowaliśmy na wielbłądy a my, niczym amerykańscy turyści, swobodnie maszerowaliśmy przez pustynię. Jedynie od czasu do czasu ściągaliśmy z wielbłądów aparaty i fotografowaliśmy.

A było co fotografować. Najpierw szliśmy przez żwirową pustynię, a następnego dnia chłoniliśmy urok scenerii wyschniętego koryta kamienistej rzeki. Po drodze stary przewodnik pokazywał nam malowidła i płaskorzeźby. Motywy były zastanawiające: żyrafy, słonie, nosorożce. Gazele, byki, konie, walczący wojownicy, tajemnicze spirale. Toż wszystkie zwierzęta żyły w tej, jakże suchej obecnie okolicy.

Aż się wierzyć nie chciało, że tutaj, w takiej dziczy, 8000 lat temu żyli ludzie i powstawały prawdziwe dzieła sztuki.

Wieczorami w uedzie paliliśmy ogniska i siorbaliśmy świetną tuareską herbatę, parzoną w przedziwny sposób. Po raz kolejny przekonaliśmy się, że na Saharze nie jest potrzebna żadna turystyczna mieszanka do gotowania. Wszędzie jest chrust, wysuszone na wiór drewno, a nawet wśród piaszczystych wydm bez trudu można znaleźć suchorośla.

W drodze do Djanet spotkała nas przygoda. Gdy przekraczaliśmy obszar piaszczysty wydm, samochód naraz zaczął tańczyć pod wpływem nagłych podmuchów wiatru, który niósł tuż przy ziemi tumany piasku. Po kilku minutach wichura wzmogła się, niesiony wiatrem piasek ograniczył widoczność do kilkudziesięciu metrów i przestonił na dobre upalne słońce pustyni. Rozpoczęła się normalna burza piaskowa. Widoczność spadła do kilku metrów i trzeba było się zatrzymać.

Samochód trzeszczał w podmuchach wiatru, piasek prażył po karoserii z taką siłą, iż byłem pewny, że lakier będzie starty do gołej blachy.

Niezliczone ilości piasku, bijące z wielką siłą o szyby i blachy samochodu, wywołały szum sprawiający bardzo przygnębiające wrażenie. Był to żywioł groźny, trochę zatrważający. Staliśmy bezradnie na drodze, poddani podmuchom wiatru, grzmoceni i bombardowani kolejnym nawałnicami piasku.

Mała kabina samochodowa była jakby pułapką, która uwięziła nas na nie wiadomo jak długo, na środku wielkiej pustyni.

Na szczęście po kilku godzinach wiatr – tak samo jak się pojawił, ucichł i na niebie znowu zaświeciło słońce. Tylko małe zaspy piasku na drodze przypomniały o niedawnej burzy, a blacha na samochodzie stała się jakby bardziej matowa.

Do tej pory sądziłem, że są tylko dwie przestrzenne pasje: góry i morze.

Pustynia to też prawdziwy żywioł, potrafi porwać ludzi z całego świata. Spotykaliśmy pasjonatów, którzy przyjeżdżają tutaj na wiele miesięcy i często samotnie, bardzo dziwnymi samochodami, przemierzają pustynię dzikimi szlakami karawan.

Niestety coraz rzadziej można spotkać karawany wielbłądów na pustyni, nieuchronnie przyszła epoka wielkich ciężarówek.

My jechaliśmy coraz dalej na południe. Czekano nas na Saharze jeszcze wiele niespodzianek.

Michał Kocharczyk